DZIEWIĘTNASTKA

przystań

Miesięcznik | Nr 174 27 stycznia 2019 r.

– Jestem. O co dokładniej chodzi?
– Najpierw usiądź, spokojnie.
– Wiesz, ile to dla mnie znaczy.
– Nie tylko dla ciebie.
– Dziś trzeba dokończyć. To i tak za długo się ciągnie.

Tym razem pozwoliliśmy sobie na mały eksperyment: zamiast tradycyjnego tematu numeru - krótki dialog obowiązkowy w każdym (czy nieomal każdym) tekście. Dopiero kontekst decydował, jak te słowa zabrzmią w uszach czytelnika. Zapraszamy do obejrzenia przemian równie magicznych jak zachwycające Cortazara metamorfozy gazety w stertę papierów i na odwrót.

Redakcja "Dziewiętnastki"

Finalizacja

Szedł. Było zimno. Każdemu przesunięciu nogi towarzyszył przeszywający ból. Czuł, jak przy mocniejszym powiewie padający śnieg wbijał mu się w twarz w postaci drobnych, lodowych igiełek. Wiedział, że nie wytrzyma długo. Jeszcze kawałek. Jeszcze kilka kroków. Jak teraz się podda nie przeżyje kolejnej nocy.

Stracił równowagę. Upadł. Piekło go całe ciało. Nagle usłyszał przeraźliwy pisk. Dźwięk, którego nie mógł wydać żaden człowiek...

*

Piotr przebiegł przez cały korytarz. Był spóźniony. Dzisiaj wszystko miało się rozstrzygnąć. Jego być albo nie być. Dzisiajokaże się, czy zmarnował ostatnie miesiące, czy cała energia poświęcona tej jednej idei była tylko nic nieznaczącą ofiarą wynikającą z nadgorliwości i pracoholizmu. Doskonale wiedział, że postawił wszystko na jedna kartę.

- Jestem - wydyszał w holu. Siedziała tam tylko ta drobna brunetka, ewidentnie niezainteresowana Piotrem, czytała czasopismo dla kobiet sukcesu. „Businesswoman - pomyślał - pewnie prowadzi takie fit życie... Jogging (a nie zwykłe bieganie), dieta zero cukru... Ciekawe, czy ma czas na dobro, na bezinteresowne dawanie ludziom siebie, czyli szczęście...".

W tym momencie drzwi do gabinetu otworzyły się. Dyrektor gestem pokazał Piotrowi, żeby wszedł do środka.

- O co dokładnie chodzi? – Mężczyzna miał nadzieję, że został wezwany w innej sprawie.

- Najpierw usiądź, spokojnie. – Dyrektor ewidentnie starał się zachowywać profesjonalnie, ale w głębi było mu bardzo przykro.

- Wiesz, ile to dla mnie znaczy - Piotr z przejęcia zapomniał o formule grzecznościowej, ale w obecnej sytuacji chyba nie wypadło to najgorzej. Wiedział już, że może chodzić tylko o jedno.

- Nie tylko dla ciebie. - rzeczywiście, projekt obejmował całą firmę, ale to Piotr był głównym inicjatorem. - Dziś trzeba zakończyć, to i tak za długo się ciągnie.

Słysząc te słowa Piotr osunął się na krzesło. Właśnie do niego dotarło, że projekt był jego ostatnim napędem i motorem do życia (nie do życia) Wszystko inne dawno od niego uciekło, czy sam to odepchnął. Nie miał nic więcej, nikogo. Poczuł się jak jeden z wielu bohaterów opowiadań, które pisywał. Każdy po zaciętej i trudnej walce umierał w samotności.

Muka

Odyseja Krużgankowa

Pewnego dnia, a była to bodajże niedziela, przemierzałam dominikańskie krużganki szybkimi, acz drobnymi kroczkami, ze wzrokiem wbitym w posadzkę. Przeważnie przyswajam sobie otoczenie wręcz pożerając je wzrokiem, gdyż zawsze jest w nim coś godnego uwagi, wzbudzającego refleksję – coś, co figlarna dusza marzyciela-melancholika bez trudu dostrzeże i wykorzysta do swoich „niecnych" planów. Nawet w miejscach, które, zdaje się, znam już na pamięć, wypatruję spośród kłębowisk znanych mi już dotychczas rzeczy (uczynionych przez mój umysł nudnymi przez ciągłe obcowanie z nimi) intrygujący szczegół – lekki, świeży aromat, nadający nowy kształt rzeczywistości, oczyszczający moje spojrzenie.

Także tego dnia, przeskakując płynnie z jednego przedmiotu na drugi, wzrok mój dotarł do gotyckiego okna i typowego dla niego maswerku, wieńczącego całą konstrukcję. Okno wychodziło na prostokątny plac otoczony zewsząd krużgankami. Zwolniłam kroku, bo akurat zaciekawił mnie pewien wzór, ale mój wzrok spoczął na czymś innym. Wydawało mi się, że się poruszyło... Ono wręcz pląsało! „Nie, to chyba niemożliwe... O, znowu! To DRZEWO wyraźnie się rusza! Chyba... Chyba nie przeszkadza mu nawet, że to widzę" myślałam. Właściwie to nie drzewo się ruszało, lecz jakiś duch, a może elf albo nimfa. Jeżeli to ostatnie, to z pewnością driada. Dusza drzewa w szacie utkanej z kory i z włosami splecionymi w warkocze z liści, gałęzi i powietrza, wyglądała zupełnie jak jego część. Kimkolwiek była ta istota, w najmniejszym stopniu nie zwracała na mnie uwagi. Najzwyczajniej w świecie pląsała sobie wokół drzewa, nadstawiała szpiczaste uszy w stronę, z której dochodziły ptasie śpiewy i zamykała z niemym śmiechem oczy pod wpływem słonecznych strumieni oblewających równomiernie jej niematerialne ciało.

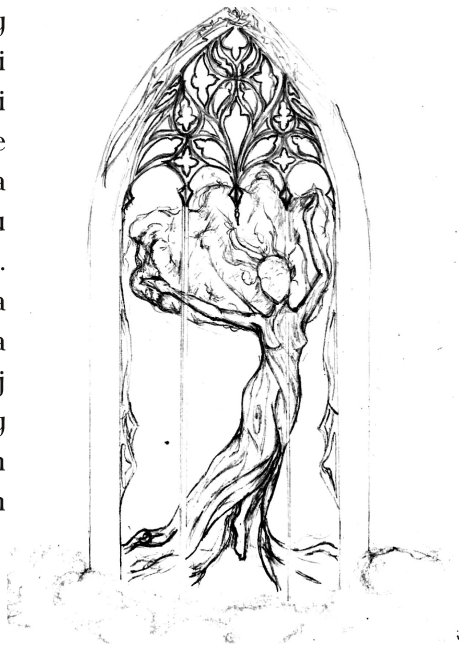

Nie mogłam się na nią napatrzeć, dlatego zwyczajnie stałam prawie wciskając nos w gotyckie okno i obserwowałam zachłannie poczynania ducha. Nie potrafię stwierdzić, ile czasu upłynęło od kiedy rozpoczęłam moją obserwację (a może czas stanął w miejscu...?), grunt że po pewnym czasie zdałam sobie sprawę, iż... nie widzę już driady. Zniknęła mi z oczu, być może powróciła do swego domu. Nie wiem i już nigdy się nie dowiem, ale w tamtej chwili przypomniałam sobie nagle o czymś ważnym i musiałam szybciej, niż chciałam otrząsnąć się z letargu i pognać dalej.

Tak wyglądało moje pierwsze „spotkanie" z duchem. Wiele potem nad tym myślałam, jednak nie doszłam do żadnych interesujących wniosków. Ciągnęło mnie do tego miejsca i wracałam tam wciąż na nowo. Stawałam przy tym samym gotyckim oknie z charakterystycznym dla niego maswerkiem i wpatrywałam się intensywnie w drzewo na placu, którego od tamtej pory przestały dla mnie otaczać krużganki. To ON zaczął je otaczać. „No dalej, pląsaj" mówiłam sobie w myślach, marszcząc nos. Drzewo ani drgnęło. I tak za każdym razem

Ostatnio ścięto drzewo. Zastanawiam się, czy jego duch zdołał znaleźć nowy dom. Odszedł czy pozostał? Czy on w ogóle był czy to tylko moja dziecięca wyobraźnia wyrywała się jeszcze rozpaczliwie z okowów dorosłości, która zbliża się nieustępliwie? Wzdycham. Zamykam oczy. Otwieram. Idę szybkim krokiem przez krużganki, wręcz lecę i zerkam spod oka to na prawo, to na lewo, gdy nagle... „Och! Czyżby ta woda na obrazie zafalowała?!"

Róża

Zaburzenia pionu

Pracownia FAUSTA. Zimowy zmierzch, rozświetlony jedynie blaskiem świecy. Faust pochylony nad stołem, obraca w rękach modele różnych brył i notuje na pergaminie. Wzdryga się na odgłos pukania.

FAUST
z wyraźną irytacją
Jestem!

Wchodzi OŚ OŁ (pionowa linia, która odstrychnęła się od swego układu współrzędnych L-Ł), podskakując i niezdarnie obracając się wokół własnej osi. Staje obok Fausta i zagląda mu przez ramię, kiwając się miarowo.

OŚ OŁ
ciekawsko
O co dokładniej chodzi?

FAUST
piorunuje spojrzeniem Oś i odwraca się do niej tyłem, zagarniając ręką przedmioty badań. Oś nie daje za wygraną i korzystając z przewagi istnienia wyłącznie w dwóch wymiarach, zagląda z drugiej strony. Chwieje się jednak, ponieważ jest nadłamana, co powoduje zakłócenia wertykalności. Faust zauważa to i przypomina sobie, że obiecał kiedyś naprawić ten defekt. Oś dostrzega, że zyskała przewagę i końcówka Ł rwibruje zzadowoleniem.

OŚ OŁ
triumfalnie
Najpierw usiądź, spokojnie. Wiesz, ile to dla mnie znaczy. Nie tylko dla ciebie.

Faust zrezygnowany siada przy stole, ignorując paplaninę linii, wyciąga z szuflady ampułkę ze sproszkowanym rogiem jednorożca i posypuje nim miejsce złamania. Oś prostuje się z ulgą i wykonuje radosny piruet. Doktor chowa fiolkę, powstrzymując kichnięcie i wraca do oglądania brył, mamrocząc pod nosem. Całkowicie ignoruje Oś, która także pochyla się nad stołem i powtarza niskim głosem jego słowa.

OŚ OŁ
Dziś trzeba dokończyć. To i tak za długo się ciągnie.

Zostają tak około dwóch godzin, aż wreszcie Oś znudzona opuszcza pracownię. Przez niedomknięte drzwi wchodzi PUDEL i w milczeniu przygląda się Faustowi.

Łucja

Pudel to aluzja do historii Fausta, do którego Mefistofeles przychodzi właśnie w takiej postaci.

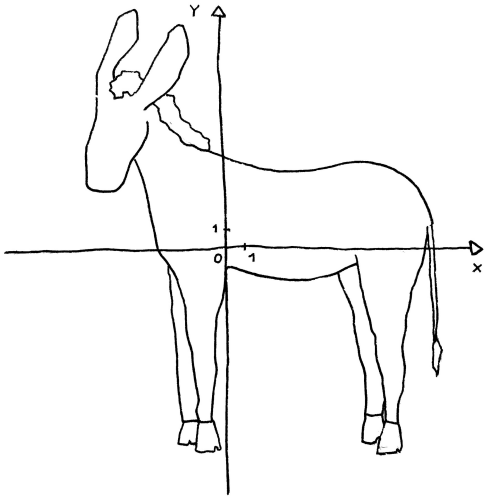

Prośba

Zadzwoniła do niego 15 minut temu. Z wielkim przejęciem prosił, by przyjechał jak najszybciej. Latem, ulice tego zazwyczaj zatłoczonego miasta, są bardzo puste. Ludzie, chcąc nacieszyć się ciepłymi promieniami Słońca, spacerują lub jeżdżą na rowerach.

– Jestem. O co dokładniej chodzi? – zapytał ze szczerym zainteresowaniem wchodząc przez próg domu.

– Najpierw usiądź, spokojnie. – odpowiedziała ciężarna kobieta próbując ukryć silne emocje. *Jak mu to powiedzieć? Czy on sam nie może się domyślić? Dlaczego to ja zawsze muszę o wszystkim pamiętać? Dobrze, zacznę łagodnie.*

– Wiesz ile to dla mnie znaczy...– przeniosła wzrok z jego oczu na kąt pokoju.

Nie tylko dla ciebie. – uśmiechnął się i pogładził jej dłoń. – Dziś trzeba dokończyć. To i tak za długo się ciągnie. – powiedział z zapałem mężczyzna i ochoczo wziął się za malowanie pokoju.

Trawa

Płonące lisy

W Ceroli, miejscowości na północy Italii, mieszkała pewna rodzina. Byli raczej biedni, ale niczego im nie brakowało. Ojciec pracował na roli. Orał i zasiewał małe poletko przy ich domu. Żął i zboże zbierał je w snopy. Bowiem tam, gdzie mieszkali jego uprawa była dużo prostsza niż południowych oliwek i winorośli. Zboże potrzebowało więcej wody, która obficie zraszała północne tereny. Ojciec pędził i wypasał też bydło, które w odpowiednim czasie ciągnęło pług lub zwoziło zboże do spichlerza. Często narzekał na swoją ciężką pracę i coraz słabsze zdrowie. Jego żona, dużo młodsza, w swej pokorze i pracowitości zajmowała się domem i obejściem, aby jak najbardziej ulżyć mężowi w obowiązkach domowych. Zajmowała się drobiem, który ostatnio nader często znikał z niewyjaśnionych przyczyn. Zbierała zioła i grzyby. Gotowała posiłki. Tkała i szyła ubrania dla całej rodziny. Wielką pomocą i prawdziwą matroną dla tego domu była. Miała z mężem też dwóch synów. Chłopcy byli jeszcze za mali, by podjąć naukę lub zająć się domowymi obowiązkami. Najczęściej biegali po polach i okolicznym lesie. Czasem łapali ryby w pobliskim strumieniu, czasem przynosili do domu zebrane jagody.

I tego feralnego dnia chłopcy bawili się na zewnątrz. Wieczór się zbliżał i starszy z nich zadecydował, że pora już wracać do domu. Młodszy, który właśnie wdrapał się na drzewo, nie chciał schodzić od razu. Pierwszy jednak nie zamierzał na niego czekać. Ruszył do domu, nie bojąc się o brata, który znał przecież drogę równie dobrze. Na skraju lasu, tam, gdzie stykał się on z otwartą przestrzenią, powracający chłopiec dostrzegł biegnące zwierzę. Postanowił je dogonić. Puścił się pędem i im bliżej był niego, tym więcej szczegółów dostrzegał. To był lis. Złocistorudy drapieżnik zaciskał w pysku aż trzy kury, które na wpół żywe miotały się szukając ratunku. Chłopiec pojął, że lis porwał je z ich domowego kurnika. Z okrzykiem skoczył na lisa i złapał go za pysk, tak, żeby ten nie mógł go ugryźć. Zawołał ze wszystkich sił swego brata sam usiłując okiełznać zwierzę, które wściekle się miotało. Właśnie kiedy udało mu się usiąść na nim okrakiem nadbiegł jego młodszy brat i zdziwiony wydyszał:

– Jestem. O co dokładnie chodzi?

– Najpierw usiądź. Spokojnie. – powiedział starszy, tak jakby sam sobie dodawał otuchy. Czuł się w obowiązku ukarać złodzieja, który już nie pierwszy raz pustoszył maminy kurnik. Przekonał młodszego brata i polecił mu przynieść słomę. Chłopiec szybko uzbierał na pobliskim polu całą naręcz. Razem owinęli nią lisa i związali sznurkiem. Starszy, wciąż przyciskając ciężarem

swojego ciała przeciwnika do ziemi, wyjął hubkę i z zawahaniem spojrzał na młodszego, który przyglądał się tym czynnościom przygotowawczym, odchrząknął i powiedział:

– Wiesz ile to dla mnie znaczy. – młodszy wiedział. Skinął głową i dodał zachrypniętym głosem:

– Nie tylko dla ciebie.

Nie chodziło tylko o lisa, chodziło o ich honor. Wymierzenie kary sprawcy zbrodni względem domu było przywilejem (lub też obowiązkiem) głowy rodziny. Jednak w zaistniałej sytuacji, kiedy ojca nie było, a sami nie daliby rady przytaszczyć zbrodniarza do domu, to najstarszy mężczyzna rodu powinien wymierzyć sprawiedliwość.

Starszy rozpalił ogień. Nikt nie będzie bezkarnie podkradał kur!

– Dziś trzeba to dokończyć. To i tak za długo się ciągnie. – przyłożył płomień do końca słomianego pakunku. Ogień szybko się rozprzestrzenił, a zwierze zaczęło się szarpać tak, że chłopiec musiał puścić je wolno, aby ogień nie przeniósł się na niego. Gdy tylko wypuścił lisa, ten wygrzebał się z płonącej słomy i skowycząc z bólu rzucił się do ucieczki. Ogień już przeniósł się na jego futro, teraz rzeczywiście ognistej barwy.

Chłopcy zaśmiali się, zebrali ponadgryzane kury i zaczęli iść w kierunku domu. Zaczął wiać wiatr. Przyspieszyli kroku. Matka na pewno czekała na nich z niecierpliwością. Niebo płonęło od zachodzącego słońca. Kiedy dotarli do domu, zobaczyli matkę siedzącą na progu domu całą we łzach. Zdumieli się bardzo, lecz zaczęli płakać razem z matką, kiedy ta pokazała im spalone poletko za domem. Okazało się, że lis oszołomiony ogniem, który go trawił, wbiegł w pole aż do ich części, roznosząc ogień na prawie dojrzałe zboże. W tym czasie wzmógł się wiatr, który zamiast ugasić płomienie podsycił je i tak całoroczna praca ich ojca obróciła się w proch.

Od tamtej pory w miasteczku Caseroli nie wymawia się imienia lisa. Wierzy się, że przynosi ono nieszczęście. Dla upamiętnienia kary jaka spotkała jednego z nich, gdy ośmielił się zniszczyć dary Cecery - bogini plonów rolnych została pamięć. Dlatego podczas Cerialii, po wyścigach rydwanów, wypuszczano na arenę cyrku lisy z przyczepionymi pochodniami do ogonów i polowano na nie.

zapałka

na podstawie o Fasti (IV 743nn) Owidiusza

Rozmowa, która była konieczna

Deszcz delikatnie stukał w szybę. Tykanie zegara ogłuszało, a blask lamp biegnący z sufitu oślepiał. Wtem wszedł on. Wysoki, czarnowłosy, w zielonym, długim płaszczu. Wyraz zniecierpliwienia oszpecał jego i tak już brzydką twarz.

– Jestem, o co dokładnie chodzi? – rzucił obojętnie.

– Najpierw usiądź, spokojnie – powiedziała kobieta. Ona, ubrana w niezwykle elegancką garsonkę, z delikatnym makijażem. W jej tonie można było wyczuć zmartwienie. Delikatny uśmiech odsłonił rząd perełek – Wiesz ile to dla mnie znaczy... – niepewnie dokończyła.

– Nie tylko dla ciebie – powiedział mężczyzna przeczesując palcami włosy, chcąc ukryć brak pewności. Jednak zebrał się na odwagę i dodał – Dziś trzeba dokończyć. To i tak za długo się ciągnie.

Kobieta pokiwała głową i ze smutkiem podała mu formularz zamknięcia numeru operatora sieci komórkowej.

Trawa

Nieśmiałość

- Jestem - rzuciła raczej wesoło, wpadając do kawiarni.

- O co dokładniej chodzi? - spytała, siląc się na beztroskę. Rzeczywiście, wyglądało to nieco na podryw, a ja bynajmniej nie należałem do przystojnych. Może też czegoś się domyślała.

- Najpierw usiądź, spokojnie. - powiedziałem, chyba żeby sobie dodać animuszu. Trzęsły mi się ręce.

- Wiesz, ile to dla mnie znaczy... - Ile mnie kosztuje. Powinienem powiedzieć kosztuje. Plątał mi się język. Nawet nie wiedziała, co, ale postanowiła udać idealne zrozumienie, zniżyła głos do scenicznego szeptu. Uwielbiałem patrzeć, jak się wygłupia.

- Nie tylko dla ciebie.

Podsunąłem jej raport policyjny dotyczący przemytu alkoholu, kokainy i owczej wełny. Widniało na nim jej nazwisko. Była zaskoczona, zbladła nawet, ale szybko doszła do siebie. Dodała nawet z pewnym humorem:

- Dziś trzeba dokończyć. To i tak za długo się ciągnie.

Dopisała swoje imię i dodała frywolne serduszko.

Szafran

Zdrada

Jak we śnie...

Pamiętam. Łapałem motyle. Miałem ich tyle, że mogłem już spokojnie wracać do domu, ale... Usłyszałem jej słodki głos, który docierał gdzieś z daleka. Wołała mnie. Nareszcie. Tak długo czekałem na ustalony wieki temu znak. Porzuciłem moje motyle. Słój rozbił się. Szklany pył mieniąc się, kaleczył moje oczy. Łzy szczypały okrutnie i wiedziałem, na miły Bóg, wiedziałem, że już nigdy nie będzie mi tak błogo jak wtedy, gdy jeszcze łapałem motyle.

Wyszedłem na balkon i po rynnie zszedłem na ziemię. Ocierając łzy z policzków, biegłem w nasze miejsce spotkań. Czekała.

– Jestem. O co dokładnie chodzi? – Byłem niesamowicie podekscytowany. Po tak

długim oczekiwaniu każde jej słowo było dla mnie skarbem. Rozpoznała mnie z daleka i dostrzegła moje poruszenie.

– Najpierw usiądź. Spokojnie. – Jej słowa były jak rozkaz. Od razu skupiony przestałem się trząść i poczułem się w obowiązku, żeby usprawiedliwić moje nieopanowanie:

– Wiesz przecież, ile to dla mnie znaczy. – Opuściła powieki. A ja, ja wciąż patrzyłem na nią. Naprawdę nie mogłem pojąć, dlaczego nic nie mówi. Bardzo chciałem spojrzeć w jej oczy, zobaczyć, zrozumieć... Wreszcie podniosła je na mnie. Płakała. Byłem zaskoczony. Tego się nie spodziewałem. Wyciągnęłem do niej rękę i przykryłem jej dłoń swoją. Zbliżyłem się jeszcze bardziej, a wtedy...

Zza drzewa wyszedł rosły mężczyzna. Do dzisiaj nie wiem, kim był. Jednak bardziej niż jego postury przeraziłem się tego, co powiedział. Tak, jakby był tu ukryty od dawna, jakby był przez nią kryty. Słyszał wszystko i jakby w odpowiedzi na moje słowa powiedział:

– Nie tylko dla ciebie.

Poczułem się niepewnie. Wystraszony odsunąłem się od tej, na którą tak długo i namiętnie czekałem. Wstałem. Chciałem coś odpowiedzieć, ale zabrakło mi słów. Mężczyzna zaczął iść w moją stronę.

Źle, źle! A przecież potem było tylko gorzej.

Zza kolejnych drzew wyszło jeszcze więcej rosłych mężczyzn. Zacząłem się cofać. Ale za mną było drzewo i nie mogłem już nigdzie uciec. Przywarłem więc do niego i stałem obezwładniony strachem. Mężczyzna, kiedy był już tak blisko, że prawie mnie dotykał, dorzucił jeszcze tym okropnym, okropnym głosem:

– Dziś trzeba to dokończyć. To i tak za długo się ciągnie.

Spojrzałem w trwodze na nią, ale nie było jej na kamieniu, na którym wcześniej siedziała. Zacząłem szybko i nerwowo rozglądać się w poszukiwaniu najmniejszej szansy ratunku. Podniosłem ręce w geście gotowości do walki, ale wykorzystali to i skrępowali mnie. Krzyczałem, więc zakneblowali mi usta.

Ból, ból. I nic więcej.

Aż do teraz. To wszystko dzięki tobie. Dziękuję! Zwątpiłem już tyle razy... Ona zawsze była mi światłem. A ty, ty? Och, jak okropnie się myliłem! Tak bardzo bym chciał, żebyś była teraz przy mnie.

zapałka

Zaduch

Siedzieli, jakby nigdy nic, przy wielufonkcyjnym stole maga, służącym równie dobrze do eksperymentów jak i spożywania przelotnych posiłków, zwykle nie oddzielając zbytecznie obu zastosowań. Używając liczby mnogiej mam na myśli, oczywiście, pana tej pracowni, ambitnego, dziobatego księcia trzeciego w kolejce do tronu i przykrytego płótnem niczym nowa rzeźba ducha niedawno przywołanego na potrzeby eksperymentu prowadzącego zarówno do poprawy losu ludzkości i stanu sakiewki maga oraz jego wspólnika.

– Jestem – rzekła zjawa oznajmiająco, zdziwiona własnym życiem pozagrobowym.

– O co dokładniej chodzi? – spytał młodszy wspólnik, wciąż nieprzekonany do pomysłu radzenia się zmarłych.

– Najpierw usiądź – poradził mag, oczekując żywiołowej reakcji laika na tak niecodzienny widok jak świeży duszek.

– Spokojnie! – parsknął książę, przekonany o własnym opanowaniu bądź, co także możliwe – w najmniejszym stopniu nieprzekonany o znaczeniu zaistniałej sytuacji dla projektu (czy też Projektu, jak miał zwyczaj nazywać go w myślach).

– Wiesz, ile to dla mnie znaczy – wtrącił po raz setny mag, odkrywając wreszcie płótno. Nadal udawało mu się zachować uroczysty nastrój, pomimo zniechęcenia młodego, a nawet odstającego od wszelkich standardów zachowania ducha. Materiał opadł na podłogę, wzniecając nieco kurzu. Następca następcy tronu popatrzył i schował twarz w dłonie. Duch zastygł, wodząc tylko dokoła wzrokiem, lekko zdezorientowany.

– Nie tylko dla ciebie. Młody westchnął, zbierając się do wyjścia. Zawsze zostaje jeszcze plan b. Mag wciąż patrzył na widmo, oczekując z wiarą zapowiedzianej przepowiedni na temat strony rozwoju ich wielkiego projektu. Zjawa podniosła znacząco i z wielką powagą wskazujący palec lewej ręki, prawą trzymając wygiętą nad głową w geście tworzenia. Ciamkała przy tym lekko i cmykała zębem, zamyślona głęboko.

– Dziś trzeba dokończyć – powiedział duch profetycznie, zerkając jednak dwuznacznie na niedokończony obiad na talerzu maga. Ten przytomnie a zazdroście schował go za siebie. Zrezygnowane widmo dodało, próbując poprawić sobie humor nastrojem ponurym i dobitnym:

– To i tak za długo się ciągnie...

Szafran

Jedność

W zeszłą sobotę w południe po obu stronach krakowskiego rynku zebrał się całkiem spory tłum. To prawda, nie byli stłoczeni, niemniej jednak zajęli cały plac. Czekali trochę jak na dźwięk złotego rogu, choć oprócz paru głośników słabo widocznych zza masy zgromadzonych ludzi nie było widać żadnego powodu dla tego zbiegowiska. Ci od strony Mariackiego przypominali nieco turystów, zawsze jednako zachwyconych hejnałem. Kiedy wybrzmiał tym razem, trębacz zaintonował „Sound of silence". Tylko jeden ton naraz, niejednokrotnie zagrany niepewnie, brzmiący nieporadnie, szczerze i bardzo ludzko. Skończył i krakowianie budzili się do aplauzu. Najpierw wysepka przy katedrze, potem oklaski rozeszły się jak fala. W momencie przesilenia potężna, mimo tego, że z osobna każdy klaskał ot tak, lekko, bez entuzjazmu. Siła w jedności.

Prawdopodobnie było przewidziane jeszcze parę punktów programu, ale okazały się raczej spóźnione lub nieprzekonujące i większość tłumu zwyczajnie się rozeszła. Przynajmniej na rynku, najbardziej oczywistym z miejsc zgromadzenia, nie było transmisji z Gdańska, nie zauważyłam też nigdzie zbyt wielu zniczy. Chwilę bliskości i zadumy przedłużyła jeszcze nagłaśniana spod ratusza „Modlitwa o wschodzie słońca", muszę z przykrością stwierdzi, jakby przewidziana na podobną okazję.

Szafran

DZIEWIĘTNASTKA

Dominikańskie Duszpasterstwo Młodzieży „Przystań" przy klasztorze OO. Dominikanów w Krakowie

ul. Stolarska 12, 31-043 Kraków | redakcja19@gmail.com | przystan.krakow.dominikanie.pl

Opieka redakcyjna: o. Marek Rozpłochowski OP

Redaktorka naczelna: Zuzanna Stawiska

Rysunki: Olga Bartkiewicz

Teksty: Zuzanna Schoen-Żmija, Maria Bartosz, Natalia Zabdyr, Dominika Chaberka, Monika Chaberka, Zuzanna Stawiska

Korekta: Wanda Heydel

Skład: Dominika Chaberka